

SZCZURY I WILKI
G R Z E G O R Z
GORIAT

FRAGMENTY KSIĄŻKI



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia
www.wnk.com.pl

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2009
Text © by Grzegorz Gortat 2009

Projekt layoutu i okładki *Mariusz Filipowicz*

Premiera książki: *sierpień 2009*



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

KUPA ŁAJNA

[...]

— Głodny jestem!

Udał, że nie słyszy. Podniósł prawą pięść na wysokość oczu i otworzył. Na zewnętrznej stronie dłoni, na skórze między palcami, odsłoniły się wytatuowane litery. M, E, H, T. „Jak czterech ewangelistów” — pomyślał. *Meine Ehre heißt Treue*. Ewangelisci nowego Pisma. Nowy porządek wymaga nowej Wiary. „Naszym hasłem wierność”. Zaciśnął pięść i litery zniknęły.

„Tak trzeba — powtarza A.H. — dopóki nie urosniemy w siłę. Wtedy nie dadzą nam rady. Nie możemy powtórzyć błędu poprzedników”.

— Głuchy jesteś? Jeść mi daj!

Wstał z łóżka. Opadł na podłogę i zaczął ćwiczyć, opierając ciężar ciała na palcach stóp i kostkach zaciśniętych w pięści dłoni. Uginał i prostował ramiona w równym tempie. Liczył. Kryzys przyszedł przy dziewięćdziesięciu. Zmusił omdlałe ręce do większego wysiłku. Dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt sześć. Wyobrażał sobie, że zamiast w parkiet wbija pięści w Karła. Sto trzy... sto pięć.

Dociągnął do stu dziesięciu i opadł brzuchem na podłogę. Przewrócił się na plecy. Odpoczywał.

— Do kurwy nędzy, masz watę w uszach?!

Spojrzał na zegar. Pięć po drugiej. Nie wolno mu się spóźnić.

Przeszedł do kuchni, nie patrząc na Karła. Zapalił gaz pod garnkiem z zupą. Wrócił do pokoju, otworzył szafę i wyjął białą koszulę.

— Wychodzisz?

Nie odpowiedział.

— Kiedy wróci matka?

— Nie wiem.

— Dokąd poszła?

— Przecież wiesz. Nawet w niedzielę sprząta gównem w obcych domach.

— Szczeniaku, o matce mówisz!

— Musi zarobić na twoje żarło i wódcę.

— Już nie piję.

Nie odpowiedział.

— Jedzenia ojcu żałujesz?

Poszedł do kuchni, nalał zupę do talerza, zaniósł do pokoju i postawił na stole.

— Matka nie pozwoli ci zdechnąć.

— Dosyć się w życiu naharowałem. Kiedy miałem tyle lat co ty, już poszedłem do pracy.

— Jak miałeś piętnaście lat, kiblowałeś w poprawczaku.

— Kto ci takich głupot naopowiadał? — Popróbowaliśmy zupy. — Drugiego dania nie ma?

— Nie.

— Przecież matka kupiła mięso.

— Idź i sprawdź.

Karzeł szarpnął się, próbował go walnąć lewą ręką. Lewą zawsze miał jak siekiera. Nawet po pijaku wybijał zęby. Nie sięgnął. Opadł na wózek. Wyglądał jak wielki szary wór, z którego wysypał się cement.

— Kurwa, gdybym miał nogi...

— Wódcę podziękuj.

— Kaleki nie szanujesz.

— Gdybyś nachlany nie kładł się pod tramwaj, toby ci nie obcięło.

— Do rodzzonego ojca mówisz!

— Trzeba było założyć gumkę.

[...]

Przeszedł do swojego pokoju. Ubrał się w czarne dżinsowe spodnie, przykucnął, otworzył dolną szufladę biurka. Krew uderzyła mu do głowy. Wysypał zawar-

tość na podłogę. Dla pewności sprawdził również górną szufladę.

Wstał i się rozejrzył. Chodnik w przedpokoju był lekko sfałdowany. W dwóch susach znalazł się w pokoju.

— Oddawaj!

— O co ci chodzi? — Karzeł zmusił się do przelknięcia łyżki zimnej breji.

— Gdzie go schowałeś?

— Niby co?

— Pas.

— Po cholerę mi pas. Mnie spodnie nie opadną.

— Byłeś w moim pokoju.

— Jasne. Chciałem rozprostować nogi, bo mi zdrętwiały od długiego siedzenia.

— Zniszczyłeś — zagroził Karłowi — to zabiję!

Wyobraźnia podsuwała mu najgorsze obrazy. Pas pocięty na kawałki. Porysowany nożem. Polany żrącym kwasem. Spalony.

— Zabiję! — powtórzył. [...]

Często rozmyślał o właścicielu pasa. O kuli, która przebiła skórę i weszła w ciało. Klamra pozostała nienaruszona. Dwa centymetry w prawo i pocisk zatrzymałby się na niej.

Chuchnął na metalową powierzchnię i przetarł ją bawełnianą narzutą łóżka. Koniuszkiem palca wskazującego przesunął po wypukłościach klamry. Orzeł z rozpostartymi skrzydłami pewnie opierał szpony na okalającym swastykę wieńcu z dębowych liści, wieniec obiegały litery tworzące napis *Meine Ehre heißt Treue*. Włożył białą koszulę, wsunął jej dół w spodnie i przeciągnął pas przez szlufki. [...]

Patrząc w lustro, wyobraził sobie poprzedniego właściciela pasa, jak, ubrany w zielony mundur SS, pierwszy raz ogląda lustrzane odbicie metalowej klamry, sylabizuje okalające swastykę słowa „Moim hasłem wierność”. Nie ślubował wierności słabemu Bogu, który pozwolił się ukrzyżować Żydom. [...]

Zanim spotkał A.H., niewiele rozumiał. Nie wiedział, w co wierzyć. Twardość mylił z siłą, lojalność brał za uległość. „Musimy być twardzi, twardzi i na wszystko zdecydowani — powtarzał A.H. — dla ludzi miękkich nie ma wśród nas miejsca. Twardość i bezwarunkowa lojalność. Naszym hasłem wierność”.[...]

MENSCH

— Podaj łapę! — unterscharführer Ernst Grohman musztrował Menscha. — Nie rozumiesz po niemiecku?

— Ledwo zipie — zdenerwował się scharführer Hanzlik.

— Siad! Siad, do cholery!

— Ernst, lekarz powinien go obejrzeć!

Grohman przywołał najbliższej stojącego więźnia.

— Przyrowadź jakiegoś sanitariusza, migiem!

Przybiegł heftling z opaską funkcyjnego na ramieniu. Grohman rozpoznał flegera Rajka, Polaka z rewiru doktora Helmersena.

— Zabierz psa na rewir, niech go jakiś lekarz przebadają. No, nie stój w miejscu jak słup soli!

Fleger się zawahał, nie wiedział, co począć z czapką. Wreszcie z gromkim: *Jawohl, Herr Unterscharführer!* naciągnął ją szybko na głowę, schylił się, nie bez wysiłku wziął Menscha na ręce i ruszył do bloku szpitalnego.

Otwierano już drzwi wagonów. Nauczony doświadczeniem Grohman odczekał chwilę. Ze środka buchnął odór ekskrementów. Patrzył, jak robactwo wylewa się z wagonów na rampę. Wyładunek towaru kosztował go

zawsze najwięcej sił, właśnie w takich chwilach najbardziej odczuwał brak Menscha. Ściągnął karabin i puścił w ruch kolbę. Bił mechanicznie, oszczędzając energię. Jak na ringu — czasem wystarczyło tylko lekko punktować. Albo markować cios lewą, by w odpowiednim momencie wystrzelić prawą. [...]

— Panie oficerze!

Odrzucił się. Żyd miał ze sześćdziesiąt lat, cuchnął, pot lał mu się po nieogolonej twarzy. Wytrzeszczał oczy zza zasnutych mgłą okrągłych, grubych szkieł okularów.

— Panie oficerze, zgubiłem żonę! Gdzie ją mogę znaleźć?

— Na prawo! — ryknął Grohman.

Żyd się rozejrzył. Podniósł dłoń do okularów, jakby chciał przetrzeć szkła.

— Ale tam są sami mężczyźni, panie ofi...

Grohman ściągnął karabin i gruchnął go kolbą pod żebra. Stary osunął się na ziemię, gubiąc okulary. Wilczur scharführera Hanzlika szarpnął się, pociągając esesmana za sobą. Pies dopadł starego i zaczął go tarmosić. Kiedy skończył, Hanzlik trącił butem nienaturalnie ugięte nogi.

— Na ciężarówkę z tym!

Czas włókł się Grohmanowi w nieskończoność. Klął pod nosem. Z drugiej strony wiedział, że wyładunku towaru nie da się bardziej przyspieszyć. Zapalił gauloisa. Tłum płynął przed siebie dwoma rwącymi potokami, zwalone wzdłuż torów walizki, pakunki i tobołki wznosiły się niemal na wysokość wagonów. Z przodu rampy doktor Mengele z pomocą podoficerów sanitarnych dokonywał cudu rozmnożenia: potok mężczyzn rozdzielął się teraz na dwie odnogi, potok kobiet również popłynął dwoma korytami. Zdatni do pracy odbędą wędrówkę do sauny, pozostali pomaszczą do jednego z czterech krematoriów.

Grohman zdjął czapkę, przeciągnął dłonią po spocynych włosach. Po gauloisie pozostał mu w ustach przyjemny smak. Przywołał Veterę. Kapo podbiegł, zdejmując czapkę. Kieszenie i przód kurtki na wysokości brzucha miał napęczniałe.

— Jest coś dla mnie?

— *Jawohl, Herr Unterscharführer!* Alkohol i papierosy.

Dobry alkohol!

— Co schowałeś w prawej kieszeni? Pokaż.

Vetera z ociąganiem zapuścił rękę do kieszeni pasiaka. Grohman się zaśmiał.

— Daj połowę tego, co tam trzymasz, nie będę sprawdzał. Vetera, nie jestem dla ciebie zbyt dobry?

— *Jawohl, Herr Unterscharführer!*

— Wyszukaj mi coś ekstra na prezent. Za dwa tygodnie jadę do domu na przepustkę. [...]

Jürgen Hanzlik rzucił się napełniać kieliszki. Kramer powąchał, rozpoznał francuski koniak, cmoknął z uznaniem. Za jego przykładem wszyscy wzniesli szkło:

— *Za Reich, za Führera, za zwycięstwo.*

Kramer pożegnał się i wyszedł. Thurnov ruszył za nim, po drodze zatrzymał się jeszcze przy Grohmanie.

— Słyszałem, że pana pies się odnalazł?

— Tak jest, *Herr Obersturmführer.*

— Prawdziwy cud, nie uważa pan?

— Tak jest, *Herr Obersturmführer.*

— Ale los Rzeszy nie powinien zależeć od cudownych rządzeń. Co czeka Rzeszę, jeżeli żołnierze nie potrafią zadbać o jej własność?

Grohman spurpurowiał. Strzelił obcasami. Milczał.

— Pij! — Ledwo za Thurnovem zamknęły się drzwi, Hanzlik nalał Ernstowi kieliszek. — *Za zwycięstwo.* Żeby Thurnov nie zdążył wysłać nas na front wschodni.

Wypili. Wokół Grohmana zrobiło się tłoczno.

— Twój Mensch wrócił?
— Wrócił.
— Nie do wiary! Przeczesałiśmy wtedy cały teren aż do brzegów Wisły i Soły.
— Pewnie schwycił go jakiś okoliczny wieśniak.
— Powiedz mi, Ernst — Stoop dopchał się z kieliszkiem — czemu go tak dziwnie nazwałeś?
— Normalnie.
— Favorit, Ralf, Bruno, to rozumiem. Ale Mensch? Na psa wołać Człowiek?
— Ernst dobrze to wykombinował. — Hanzlik się zaśmiał. — „Człowiek, bierz!”, „Człowiek, gryź Żyda!”.
Stoop też się roześmiał. Wychylił koniak i powiedział:
— W takim razie nazwij go Jude. Szczulbyś Żyda na Żyda.
— Jude, bierz! — któryś podchwycił.
Zrobiło się wesoło.
Grohman napełnił sobie kieliszek i z hukiem postawił butelkę na stole.
— Mensch! — warknął. — Tak ma być i już! [...]

Pewne czynności, Mensch przekonał się wkrótce, przychodziły mu z łatwością, jakby wykonywał je od urodzenia. Mimo klucia w boku i krepującego ruchu opa-

trunku dość pewnie stawiał łapy. Szybko odkrył bogactwo zapachów — ich wielość przytłaczała, ale stopniowo nauczył się rozpoznawać te dla niego najważniejsze. Woń ludzi w pasiakach była jednako mdląca, ludzie w mundurach pachnieli prochem, tytoniem, alkoholem i wodą kolońską. *Herr Unterscharführer* wzorem innych żołnierzy nosił buty z cholewami. Zalatywało od nich pastą i wilgotną ziemią; Mensch wyczuwał też inny związany z nimi odór, którego nie potrafił określić, a za którego przyczyną włoś jeżył się na grzbiecie. Unikał ich jak mógł, nawet lekki kopniak zadany obutą stopą sprawiał ból. Nasłuchiwał odgłosu kroków, gdy Grohman wieczorem nadciągał korytarzem; potrafił ocenić, czy *unterscharführer* wraca trzeźwy czy pijany. Wczołgiwał się pod łóżko. Grohman walił się w ubraniu na pościel i zasypiał. Gorzej, gdy naszła go ochota na musztrę. Mensch nauczył się, że na *hier* powinien podejść bez ociągania i ze spuszczonego ogonem. Dostał sporą porcję kopniaków, nim zaczął rozróżniać „podaj łapę”, „leż” i „waruj”. Najtrudniej jednak, pojął już pierwszego dnia, było oglądać świat, mając oczy na wysokości kolan Grohmana. Kiedy zadzierał łeb, widział ściągający mundur pas ze swastyką i wybitymi na klamrze słowami *Meine Ehre heißt Treue*. Były zawsze w zasięgu wzroku; nie mógł się zasłaniać niepamięcią.

Szczury i wilki

Piętnastoletni Henryk uważa się za prawdziwego Polaka. Z zaangażowaniem broni „czystości” polskiej krwi. Jego autorytetem jest Adolf Hitler, a biblią *Mein Kampf*. „Żadnej litości dla wroga. Litość jest oznaką słabości”, „Chorych trzeba oddzielić od zdrowych. Kretyni, karły, Żydzi, degeneraci: wyeliminować ich, to naprawić błąd natury” — zapamiętałe głosi za przywódcą neonazistowskiej organizacji. Bezwzględnie i brutalnie wciela te idee w życie.

Jednak czy naprawdę pojmuje, o co walczy? Czy byłby równie oddany sprawie, gdyby doświadczył piekła Auschwitz?

Najnowsza powieść Grzegorza Gortata skłania do refleksji nad tym, jak wciąż żywe i niebezpieczne są przekonania, które w ubiegłym wieku doprowadziły do Holokaustu. Stawia pytania, czy błędy historii są rzeczywiście nauką i przestrogą.



foto. Agata Gortat

GRZEGORZ GORTAT (ur. 1957), anglista, tłumacz, pisarz. Łodzianin z urodzenia, warszawiak na skutek życiowych wyborów. Autor utworów różnorodnych tematycznie i gatunkowo, laureat nagród literackich (wyróżnienie w konkursie IBBY „Książka Roku 2006”, nagroda Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za powieść *Do pierwszej krwi*).

www.grzegorzgortat.pl

Zła krew

To historia pewnego dzieciństwa, którego scenerią była Łódź lat sześćdziesiątych XX wieku. A także opowieść o cieniach przedwojennych żydowskich Bałut i warszawskiej ulicy Tłomackie 13 z jej plejadą niedoszłych noblistów. O gomułkow-szczyźnie i Mickiewiczowskich „Dziadach”, przypadkowych patronach Marca. I o braciach Karamazow, którzy wkroczyli w życie bohatera wraz z kronikarzem oświęcimskiego Sonderkommanda. Opowieść subiektywna — jak w przypadku każdej próby przywołania przeszłości, gdy żal za czasem bezpowrotnie minionym przeplata się z pretensjami do historii.

Zważywszy, że czas potrafi zniekształcić odcisnięte w pamięci wydarzenia, a obiektywizm pisarza na przekór jego intencjom nader chętnie ulega podszeptom wyobraźni, uznałem za stosowne nadać bohaterom, narratora nie wyłączając, fikcyjne imiona i nazwiska.

Autor